

Piotr Czerski

Raport z przeciążonego serwera

Poniższe akapity czytać można hipertekstowo, a więc w dowolnej kolejności. Równoprawna z innymi kolejność sugerowana przez autora jest następująca (w nawiasach podano numery tych akapitów, które zawierają dygresje i które można pominąć, jeżeli czytelnikowi się spieszy):

0x0000, (0x0f00), 0x0017, 0x0001, (0x0005, 0x000a), 0x0002, (0x0027), 0x0008, 0x0007, (0x0003), 0x000b, 0x001a, 0x0009, 0x0010, 0x0012, 0x0016, 0x0014, 0x00ff, 0x00ee, 0x00ef, 0x0102, 0x0301, 0x0111, 0xfeef, 0xffff

0x0001

Pewien znany prozaik i krytyk napisał do mnie kiedyś maila: “Piotrze, zajrzyj, proszę, na moją stronę. Dużo się zmieniło, takie obracające się przyciski dodałem, jak na nie naciśniesz to otworzą ci się nowe przestrzenie, inne światy”. Zajrzałem: na szarym tle wklejone były brzydkie, animowane gify, po kliknięciu na które otwierały się podstrony. Sprawdzałem: może coś przeoczyłem, może klikam w niewłaściwych miejscach. Nie. Te “nowe przestrzenie” to właśnie kolejne podstrony. “Nowe światy” to rozmieszczone niechlujnie linki.

Tamto zdarzenie stało się w mojej świadomości pewnym symbolem. Oto jak wielkie jest pragnienie rewolucji, jak bardzo głodni są literaci i literaturoznawcy nowego, wirtualnego świata – kilka pospinyanych ze sobą dokumentów html staje się dla nich majaczącym na horyzoncie brzegiem Indii.

0x0008

A jak właściwie wygląda topika internetowa w polskiej literaturze?

Jedną z pierwszych powieści, w których pojawia się Internet, jest “Obciach” Kingi Dunin. Mało oszałamiający debiut – główna bohaterka kilka razy sprawdza zawartość swojej skrzynki pocztowej (o dziwo - komputer do niej mówi, konkretniej – mówi “sorry, no mail”), a swoją przyjaciółkę Est poznała, jak się dowiadujemy, w bliżej niesprecyzowany, ale z pewnością internetowy sposób. Kamieniem milowym krótkiej historii obecności Internetu w polskiej prozie stała się więc fatalna, grafomańska powieść doktora informatyki, Janusza Leona Wiśniewskiego, zatytuowana “S@motność w sieci”. W warstwie fabularnej opowiada ona wielkimi słowami o miłości (“która ze wszystkich rzeczy wiecznych trwa najkrócej”), wpisujący się tym samym doskonale w kanon ustalony przez serie wydawnicze adresowane do niezbyt wymagających czytelniczek. Miłość jest, oczywiście, wielka i zapierająca dech w piersiach, bohaterowie niezwykli, scenerie malownicze, a całość – wzruszająca i zaskakująca oryginalnością (oryginalność ta jednak błędnie gwałtownie, jeżeli czytelnik zna przypadkiem francuską powieść “Ślepa miłość”, mniej więcej streszczoną w jednym z pobocznych wątków “S@motności”).

Z noty zamieszczonej na okładce książki Wiśniewskiego można się jednak dowiedzieć, że jego powieść jest “tak współczesna, że bardziej nie można: z Internetem, pagerem, elektronicznymi biletami lotniczymi, dekodowaniem genomy i SMS-ami (...). Powieść o miłości na Internecie”. Wiśniewski, jak widać, odważnie zamienił uprawianie miłości na wersalce w uprawianie miłości na Internecie.

0x0003

Wiśniewski – programista nie ma obowiązku znać się na sieciach komputerowych, ale Wiśniewski – pisarz powinien przynajmniej skonsultować treść swoich dygresji z kolegą-administratorem. Niestety, Wiśniewski-pisarz nie zdecydował się na ten krok i w związku z tym mniej zorientowany czytelnik książki wynosi z jej lektury przekonanie, że był haker – kilkanaście lat po zakończeniu swojej kariery – może mieć w notesie zestaw haseł umożliwiający zalogowanie się do kilkunastu

najważniejszych systemów komputerowych w Niemczech. Dalej – najlepszym sposobem na usunięcie wiadomości mailowej jest atak przeprowadzony za pomocą trzech superkomputerów Cray. Sam opis ataku jest bzdurą tak potworną, że nie ma sobie równych w literaturze (a przynajmniej mam taką nadzieję) – haker posiadający dostęp do serwera pocztowego nie usuwa wiadomości, na której mu zależy, za pomocą jednego polecenia, ale uruchamia na trzech superkomputerach przedziwny program, który ma tenże serwer “rozwalić”. W rzeczywistości jedynym, co można w ten sposób osiągnąć, jest swoiste odłączenie atakowanego serwera od sieci – przeciążony ilością zapytań wysyłanych przez agresorów serwer nie może realizować zapytań pochodzących ze strony zwyczajnych użytkowników – dane na twardych dyskach pozostają jednak nienaruszone. U Wiśniewskiego atakowany komputer zamienia się w “kupę krzemowego gruzu”. Gdyby pokusić się o stworzenie paralelniczej historyjki rodem z filmów o agencji 007 wyglądałaby ona mniej więcej tak: w gabinecie dyktatora wrażego mocarstwa leży na biurku list, a zadaniem Bonda jest zrobić wszystko, aby dyktator listu nie przeczytał. Bohater bez trudu wchodzi do gabinetu, zapoznaje się z treścią dokumentu, pozostawia go jednak na swoim miejscu, wychodzi i z zewnątrz (!) blokuje klamkę przy pomocy solidnego drąga, po czym zadowolony odjeżdża Jaguarem w stronę zachodzącego słońca.

0x00ff

Do zamiany na hipertekst nadają się tak naprawdę tylko książki złożone z niewielkich leksji, będących samoistną, mniej lub bardziej zamkniętą całością. Książki poetyckie na przykład, jeżeli odrzucimy rolę świadomej redakcji, polegającej na precyzyjnym doborze kolejności wierszy w celu wydobycia z pojedynczych znaczeń jakiegoś znaczenia szerszego, jeżeli uznamy pojedynczy liryk za wartość atomową. Prawdziwie hipertekstową książkę poetycką rozumiem jako zbiór wierszy, na podstawie których tworzone są w sposób losowy teksty-atomy, które przy każdej lekturze pozostają niezmiennie w warstwie treści “widzialnej”, natomiast na nowo tworzona jest podskórna sieć linków, łączących każdy (lub prawie każdy) wyraz z identycznym słowem znajdującym się w innym elemencie zbioru. Realizacja techniczna takiego założenia jest zadaniem nietrywialnym, choćby ze względu na to, że wyrazy w języku polskim są odmienne przez czas, osobę, liczbę czy przypadek i automatyczna klasyfikacja dwóch form fleksyjnych jako tego samego wyrazu wymaga zbudowania słownika. Pełna automatyzacja jest zresztą niemożliwa ze względu na wspomnianą w innym miejscu tego mojego “oceanu uwag” kontekstowość języka naturalnego. Zadanie, jak wspomniałem, jest nietrywialne, ale realizowalne technicznie: jakiś czas temu opracowałem algorytm zamiany zbioru wierszy w “chmurę”, amorficzną i niemal doskonale chaotyczną strukturę przestrzenną; zamierzam ten algorytm sprawdzić, tworząc własną książkę “pospieszne, osobowe” w wersji – nazwijmy to umownie – trójwymiarowej.

Podkreślam jednak – w moim odczuciu hiperlektura może się sprawdzić tylko na takim poziomie – losowej kolejności zapoznawania się z zamkniętą całością pełnoprawnych sensów cząstkowych (zamiast linearnej lektury otrzymujemy zanurzenie się w poezji); nie widzę możliwości przeniesienia tego efektu na prozę.

0x0102

Inny – równie pozorny – dowód na gruntowną ponoć odmianę statusu autora: tak zwana multipoezja. Krakowski poeta i reżyser Michał Zabłocki pewien czas temu wprowadził w życie projekt multipoezji – wierszy tworzonych on-line przez autora zbiorowego. Oto jak wyjaśnia proces twórczy koordynator: “co drugi czwartek o godzinie dziewiętnastej razem z internautami siadamy do swoich komputerów i – nagle zbratani ponad setkami, a nieraz i tysiącami dzielących nas kilometrów – wspólnie... piszemy wiersz on-line”.

W “Liternece” pierwszy wiersz napisany w ten sposób cytuje Włodzimierz Karol Pessel, dodając, że multipoezja to zjawisko precedensowe, ale znacznie bardziej ineteresuje go samodzielna twórczość poszczególnych autorów (czy może poszczególnych elementów multiautora?).

Krytyką multipoezji zajął się Tadeusz Dąbrowski, który w felietonie opublikowanym w sieciowym

FA-Arcie (“Poezja w Erze Wodnika”) konkluduje: “multi-wiersze są niczym innym, jak właśnie tworamii pozbawionymi jakichkolwiek znamion osobowościowych, efektem swoistej inżynierii dusz. Jaka wizja artysty wyłania się z tego wszystkiego? Otóż iście postmodernistyczna; artysta stał się moderatorem, kimś, kto za ledwie przyjmuje bądź odrzuca i zawsze buduje z gotowych już klocków, wykorzystując w dodatku gotowe i powtarzalne schematy stylistyczne” [Dąbrowski 2002]. Dąbrowski dochodzi do tego wniosku wywodząc zjawiska takie, jak powstanie multipoezji, z postmodernizmu i New Age, negacja mutiwerszy wynika u niego w dużej mierze z negacji światoglądu newage'owego i negacji postmodernizmu. Ja o postmodernizmie wiem niewiele, o założeniach New Age – jeszcze mniej, więc moja niezgoda na multipoezję bierze się z prostego przekonania, że wiersz jest komunikatem i to bardzo specyficznym, bo znaczeniowo skondensowanym, a jednocześnie wielopoziomowym (“wiele” oznacza przy tym “skończenie wiele”). Taki komunikat może istnieć wyłącznie w modelu komunikacyjnym (posługując się terminologią bazodanową) jeden-do-wiele. Zresztą – niechby nawet jeden-do-jeden. Komunikat istnieje tylko wówczas, kiedy ma odbiorcę; komunikat taki, jak wiersz, sprawdza się tylko wówczas, kiedy ma jednego nadawcę. Zgoda – był swego czasu wiersz Świetlickiego i dwóch innych poetów, ten ze zwrotem “wyglądam za okno – ni chuja idei”. To był jednak pewien manifest, a poza tym pisany był wspólnymi siłami, przy kontakcie bezpośrednim. Jeżeli autora porównać do punktu w przestrzeni, będącego środkiem układu współrzędnych (znaczeń, sensów, skojarzeń) dla tworzonych dzieł – mieliśmy w wypadku tego bruLionowego manifestu do czynienia z trzema układami współrzędnych o środkach niemal pokrywających się. Zresztą był to tylko jeden tekst; multipoezja zaś – gdyby odnieść ją do matematyki – to powtarzalna próba tworzenia jakiejś – powiedzmy - bryły równocześnie w dużej liczbie odległych od siebie układów współrzędnych (proszę nie analizować tych zdań pod kątem ich matematycznej poprawności, bo łatwo byłoby wykazać ich niespójność – nie definiuję na przykład względem jakiego układu nadrzędnego mierzone byłyby te odległości układów podrzędnych; chodzi mi jednak o możliwie obrazowe przekazanie idei). Taka próba musi się zakończyć całkowitym niepowodzeniem – piszący n-ty wers autor cząstkowy otrzymuje bowiem na wejście zestaw znaczeniowy, który w jego układzie współrzędnych oznacza coś innego niż w układach poetów piszących wersy n-1, n+1 czy n+k. Tym samym dochodzimy do wspomianej przeze mnie w innym miejscu dramatycznej partykularyzacji sensów i niemożności przekazania jakichkolwiek idei o wymiarze większym niż mieszczący się w jednym wersie – a więc do zaprzeczenia wiersza jako komunikatu.

0x0000

Ten tekst różni się znacznie od innych zamieszczonych w książce. Przede wszystkim dlatego, że pisany jest przez informatyka, a nie przedstawiciela jednej z dziedzin nauk humanistycznych, przez człowieka, który nie czytał nigdy Baudrillarda, Derridy ani Eco. Słowem – przez barbarzyńcę.

Definiując punkt wyjścia – moich rozważań nie konstytuuje pasja literaturoznawcy czy teoretyka komunikacji, ponieważ nie jestem ani jednym, ani drugim i nie posiadam niezbędnego akademickiego przygotowania. Dlatego postanowiłem tym uwagom nadać tytuł “Raport z przeciążonego serwera”; należy je traktować bardziej jak pospiesznie pisaną korespondencję z oblężonego miasta. Surową w formie, ale cenną – mam nadzieję – o tyle, że tworzona przez kogoś, kto opiera się wyłącznie na obserwacji rzeczywistości i kogo sposób widzenia nie jest w żaden sposób zmodyfikowany przez filtr przyjętych poglądów czy powszechnie akceptowanych teorii. Nawet jeżeli uznać, że mój przaśny praktycyzm jest przeszkodą w zabieraniu głosu w teoretycznym dyskursie – nadal sądzę, że lektura tych zapisków może pozwolić czytelnikowi spojrzeć na niektóre aspekty liternetu w nieco inny sposób.

Co ważne – zrezygnowałem z odnoszenia się do konkretnych opinii. Dyskutuję raczej z ideą ogólną, z wrażeniem powstałym po lekturze książki i licznych tekstów o zbliżonej tematyce, publikowanych tu lub ówdzie. Być może w pracy naukowej to niedopuszczalne, w notatkach barbarzyńcy jednak – jak najbardziej.

“Raport z przeciążonego serwera” miał w założeniu mieć klasyczną formę wywodu jednorodnego stylistycznie, o ściśle określonej przeze mnie kolejności poszczególnych części i akapitów. Na poziomie treści stanowić miał próbę krytycznego odczytania książki “Liternet” pod redakcją Piotra Mareckiego – i ten element został, mniej więcej, zrealizowany. Podjąłem jednak decyzję o całkowitej zmianie formy. Nie ukrywam, że powodem była rosnąca irytacja wynikająca z wielokrotnej lektury tekstów zebranych w “Litternecie”, a ściślej – irytacja przebijająca w wielu z nich gorliwą wiarą w zalety nowego, hipertekstowego sposobu czytania i zachwyty nad “oceanem tekstu”.

Ponieważ moje uwagi adresowane są przede wszystkim do tych, którzy w nową jakość bezkrytycznie wierzą – postanowiłem nadać im formę hipertekstową. Nie wyidealizowaną, ale rzeczywistą. Rzeczywisty hipertekst oznacza zaś leksje umieszczonych w losowej kolejności, o zaburzonej spójności kolejnych fragmentów, odmienne stylistycznie, o zredukowanym sensie. Rzeczywisty hipertekst to chaos. Jeżeli chcecie nazwać go oceanem – to jest to ocean po katastrofie tankowca; zrezygnowałem nawet z dokonania redakcji tekstu po jego napisaniu.

Chcieliście hipertekstu – no to go macie.

0x0005

Trudno mieć pretensje, to przecież typowe. Pamiętam swój podręcznik do trzeciej klasy szkoły podstawowej – były tam rysunki, wykonane przez dzieci w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych; dzieci miały narysować świat w roku dwutysięcznym, tak, jak go sobie wyobrażają. Pamiętam te śmieszne ludziki z przyczepionymi do pleców odrzutowymi plecakami, fruujące pomiędzy małymi helikopterami. Tak: wakacje na Marsie, androidy i stacje kosmiczne; hipertekst, nowy czytelnik, nowy człowiek. Wszyscy w głębi duszy wierzymy w Jetsonów.

0xffff

Belle, 2001, głos w dyskusji “Literatura i internet”, http://www.falanga.pl/artykuly/2001/01/01_belle.html

Chymkowski R., 2002, *Literatura na morzu i w sieci, czyli kim chce być czytelnik e-książek w Liternet*, Kraków.

Dąbrowski T., 2002, *Poezja w Erze Wodnika*, <http://www.fa-art.pl/archiwum/wersja1/09021.php>

Levinson P., 1999 (1997), *Miękkie ostrze – naturalna historia i przyszłość rewolucji informacyjnej*, Warszawa.

Lipszyc J., 2002, *Opowieść o nowym człowieku w Liternet*, Kraków.

Marecki P., 2002, *Liternet – dwa paradygmaty w Liternet*, Kraków.

Piętak P., 2003, *Cybertwarze*, <http://tin.pl/article.php/930/>

0x00ee

Oczywiście do przenoszenia w obszar hipertekstu nadają się bardzo dobrze wydawnictwa pozaliterackie - takie jak encyklopedie czy poradniki; trzeba jednak zauważyć, że próba zdobycia wiedzy w jakiejś dziedzinie dzięki internetowej encyklopedii może zakończyć się niepowodzeniem z powodu nadmiaru informacji. Jeżeli w opisie jednego hasła występują odnośniki do trzech kolejnych, z których każde zawiera odnośniki do kolejnych trzech – bardzo szybko okaże się, że w swoim dryfie trzeba się zdać na przypadek w mniejszym lub większym stopniu. Ta świadomość jest deprymująca – nagle znacznie wyraźniej niż kiedyś wiemy, jak mało wiemy. Mamy świadomość istnienia niewykorzystanych ścieżek, na których znaleźlibyśmy być może jakąś istotną wiedzę, ale które z konieczności ominęliśmy w swojej podróży.

0x0045

Swoistą tradycją programistów i przejawem ich specyficznego poczucia humoru jest umieszczanie w tworzonym oprogramowaniu użytkowym nieudokumentowanych funkcji – niespodzianek, zwanych *easter eggs*. Przykładem takiej “pisanki” może być gra *pinball* ukryta w Microsoft Word 2000 (informacje o tym jak ją uruchomić znaleźć można w Internecie). Ten akapit jest

odpowiednikiem *easter egg* – czytelnik, który zdecyduje się na kolejność zalecaną przeze mnie we wstępie nigdy na niego nie natrafi.

0x0016

Celna uwaga Chymkowskiego: “zatarcie tradycyjnej granicy między autorem a czytelnikiem jest swego rodzaju idee fixe teoretyków piszących o kulturowych konsekwencjach istnienia słowa w internecie” [Chymkowski 2002:87]. Dla mnie to kolejny przykład wielkiego pragnienia rewolucji. Czytelnik miałby więc stać się kimś równoprawnym autorowi. Więcej – nie wiadomo właściwie czym miałby się różnić od autora.

Tymczasem próba wpisania zależności autor-dzieło-czytelnik w tradycyjny model komunikacyjny ujawnia interakcję pomiędzy czytelnikiem i medium. Nie – autorem, nie – komunikatem. Czytelnik-odbiorca może wpływać na medium i tym samym dokonywać wybiórczej percepcji komunikatu (zmieniać kolejność jego części, rezygnować z pewnych fragmentów), autor jednak nadal stoi o jeden stopień wyżej. To on jest nadawcą, on komunikat tworzy, dalej – w świecie hipertekstu, do jakiego tęskni duża część teoretyków – on jeden zna pierwotny sens dzieła. A wierzę głęboko, że istnienie sensu jest warunkiem koniecznym istnienia literatury.

Dystans pomiędzy czytelnikiem a autorem zmniejsza się pozornie. Utrata pełnej władzy nad sposobem czytania rekompensowana jest posiadaniem pełnej wiedzy o treści – kiedyś był to przywilej obustronny, w środowisku hipertekstowym już nie jest.

To są rozważania teoretyczne i nie jestem przekonany, czy mają one w rzeczywistości jakiegokolwiek znaczenie, skoro

0x0009

Pierwszym polskim poetą kojarzonym z tematyką internetową został Tadeusz Dąbrowski, autor głośnej książki “e-mail”, wydanej w roku 2000. Zarówno tytuł tomu, jak wprowadzenie do poezji atrybutów nowoczesności trafiły w oczekiwania krytyki, a wokół Dąbrowskiego rozpełtał się – zgodnie z jego słowami – “elektroniczny szum”. Wszyscy recenzenci zwracali uwagę na obecność w wierszach telefonów komórkowych, e-maili i esemesów, na skrócone konstrukcje, przywołujące ponoć na myśl komuniowanie się za pomocą poczty elektronicznej.

Tymczasem Dąbrowski – który, co zaznaczę od razu, jest moim zdaniem poetą bardzo dobrym – do dzisiaj nie ma telefonu komórkowego, konto pocztowe sprawdza raz na kilka dni, a komputer z prawdziwego zdarzenia sprawił sobie trzy miesiące temu. Na ile znał Internet pisząc wiersze z tomu “e-mail”? I czy – używając metafory – pisanie tych wierszy nie przypominało wobec tego czegoś w rodzaju tworzenia “Sonetów krymskich” na podstawie folderu biura turystycznego?

Sieć czy świat komórek – dla Dąbrowskiego są środowiskiem nienaturalnym, obcym. Konsekwentne wplatanie nawiązań do technicznych nowości trudno mi uznać za coś innego niż koniunkturalizm. Poeta-polonista, nie posiadający komórki ani regularnego dostępu do Internetu, pisze wiersze, które trafiają w oczekiwania krytyków-polonistów i ich żądze nowoczesności w literaturze. Nie jest to niczym nagannym – tym bardziej, że Dąbrowski mówi przede wszystkim o innych rejonach egzystencji, a nowoczesność pojawia się w niektórych tylko tekstach – ale traktowanie jego wierszy w kategoriach głosu przedstawiciela pokolenia Internetu jest dużym nieporozumieniem. Wydaje się zresztą, że samemu poecie na tym nie zależy, a jego uparte wycieczki w stronę języka technicznego służą tylko świadomemu umocnieniu pozycji poety, który nowoczesności się nie boi. Stąd na przykład opublikowany w sieciowym magazynie TiN wiersz “wirus”, w którym czytamy m.in.: “koniki polne skreczują jak twardy dysk od wieków nieformatowany” i dalej - “Wciskam alt plus f4 / i nic Ostatnia deska ratunku: control alt / delete lecz jeszcze większe nic bo teraz *czuję* // że ciało mam zdrętwiałe Więc nigdy nie wyjdę już / z tego lasu zostaje czekać cierpliwie aż ktoś / godnie mnie zresetuje”. Zbyt nachalna jest ta nowoczesność jak na kogoś obcującego z nią na co dzień.

0xfeef

Nie sądziłem nigdy, że przyjdzie mi bronić Okopów Świętej Trójcy. Byłem pewny, że znajdę się w pierwszych szeregach nacierających. Z tym przekonaniem zasnąłem, a kiedy otworzyłem oczy i zacząłem nasłuchiwać dotarło do mnie, że linia frontu znajduje się daleko – daleko – za moimi plecami.

0x0f00

Jestem domkersem.

Dzielnica, w której przyszło mi mieszkać, za czasów schyłkowego PRLu uchodziła za willową, ponieważ nie występuje w niej zabudowa inna niż jednorodzinne domy, obecnie w większości nieco zagrzybione i z wyraźnymi śladami rdzy na rynnach.

Jestem więc, niestety, domkersem i na moich kolegów z blokowisk muszę przez to patrzeć z nieskrywaną zazdrością. Oni bowiem w większości od dawna połączeni są w osiedlowe sieci z bezpośrednim wyjściem na świat, mi zaś pozostaje numer dostępowy Telekomunikacji Polskiej i regularne płacenie kilkusetzłotowych rachunków. Żaden prywatny provider nie podejmie się budowy lokalnej sieci tam, gdzie pomiędzy potencjalnymi klientami odległość wynosi kilkadziesiąt metrów, a w dodatku rozdziela ich chodnik z kostki brukowej i asfaltowa ulica (co skutecznie uniemożliwia budowę infrastruktury podziemnej) oraz rosnące to tu - to tam drzewa czy czteropiętrowe posiadłości kryte gustownymi blaszanymi dachami (co z kolei zamyka drogę do stworzenia sieci opartej na łączach radiowych).

W tej sytuacji jedynym wyjściem pozostało zdanie się na łaskę monopolisty i złożenie podania o świadczenie usługi Szybkiego Dostępu do Internetu (SDI). Dokładnie w dwanaście miesięcy po umieszczeniu mojego podpisu na stosownym formularzu pocztą pantoflową (sic!) dotarła do mnie informacja, że do Rumi przysłano kilkadziesiąt urządzeń dostępowych. Rzecz jasna – nie ja jeden zostałem poinformowany, w związku z czym w Biurze Obsługi Klienta zaczęły się rozgrywać sceny dantejskie – spragnieni stałego łącza klienci łkali w rękawy panienek z okienek, wyjaśniając im, że bez SDI życia dla nich nie ma, ochrona wzmogła czujność na wypadek napadu z bronią w rękę, a dyrektor techniczny zapuścił wąsy i zgolił brodę, obawiając się zapewne o swoje bezpieczeństwo. I słusznie.

Ja sam, kiedy nareszcie dotarłem przed oblicze pani z BOKu (po dwóch zaledwie godzinach oczekiwania), musiałem użyć całego swojego uroku osobistego i nabytej w ciągu życia umiejętności prowadzenia dialogów z kobietami, po to, żeby dowiedzieć się, że moje podanie nosi numer pięćdziesiąty i pierwszy, podczas, kiedy urządzeń jest trzydzieści sześć. Przez dwadzieścia minut przekonywałem, zaklinałem, prosiłem i groziłem samospaleniem, roztaczając przy tym wizję mojej całkowitej degeneracji społecznej i intelektualnej, wynikającej z faktu odcięcia mi dostępu do sieci (co faktycznie nastąpiło kilkanaście dni temu) – w pięknych oczach pani rosły zaś łyzy czyste i rześiste, wielkości ziarenek grochu, kiedy drżącą ręką sięgała po złożone przeze mnie podanie, aby przesunąć je odpowiednio wyżej. “Nie mogę” - jęknęła nareszcie rozdzierająco - “dając panu komuś odbieram” - i uległem temu argumentowi bez słowa i spuściłem swoją głowę, rozdarłszy szaty i posypawszy włosy popiołem.

Aliści tego samego dnia zadzwonił do mnie kolega, syn właścicieli jednej z większych firm mojego miasta i krztusząc się ze śmiechu oznajmił, że właśnie złożył podanie, a termin instalacji urządzenia wyznaczono mu na przyszły tydzień. Gniew mnie przepełnił, z ust wyrwał się monolog znany z filmu Pulp Fiction, po czym zastosowałem jedyny sposób gwarantujący powodzenie operacji – czyli poszukałem tzw. dojścia. Kilka dni później właściwy człowiek zadzwonił do innego właściwego człowieka i sprawę załatwił odgórnie.

0x0007

Czytałem tę książkę nie wierząc własnym oczom. Wydawało mi się, że doktor informatyki ma szanse być człowiekiem, który internetową historię miłosną opíše właściwie, oddając właściwą jej dynamikę komunikacji, oderwanie od otaczającego, rzeczywistego świata, dysonans pomiędzy

wątkiem sieciowym i rzeczywistym i tysiąc innych drobiazgów składających się na odmienność takiego uczucia. Niestety - "S@motność w sieci" jest z punktu widzenia topiki internetowej całkowitym nieporozumieniem, a autor ośmiesza się nie tylko jako pisarz, ale i jako informatyk.

0x0014

skoro istniejące obecnie hiperteksty (w znaczeniu zbliżonym do powieści hipertekstowych) nie są niczym poza eksperymentami formalnymi. Proszę, czytelniku, odpowiedz – czy poświęciłeś kiedyś choćby pół godziny na hiperlekturę? Pierwszą polską powieścią hipertekstową jest "Blok" Sławomira Shuty – odwiedziłem stronę początkową i rozpocząłem podróż. Cierpliwości wystarczyło mi na pięć, może sześć kliknięć. Taki sposób lektury nie różni się w istocie od zappingu, bezmyślnego przerzucania kanałów w telewizorze – w błędzie są jednak ci, którzy wyciągają pochopne wnioski i którzy w swoim pędzie do ogłoszenia światu narodzin Nowego Człowieka uznają powstanie zappingu liternetowego za oczywistą konsekwencję zjawiska zappingu telewizyjnego. Zapominają o podstawowej różnicy – telewizja to ruchomy obraz, który w każdej sekundzie niesie czystą informację, strumień danych, które można po prostu wpuszczać do mózgu. Lektura tekstu wymaga wysiłku, akt czytania to wysiłek kojarzenia, za podjęcie wysiłku oczekuje się nagrody. Nagrody w postaci idei, w postaci informacji zmechanicznej, okrytej obudzonymi w mózgu skojarzeniami. Rozbijanie tekstu na coraz mniejsze leksje prowadzi do dezorientacji, partykularyzacji znaczeń i w efekcie – do zaniku sensu, który byłby nagrodą za wysiłek. Brak nagrody to zniechęcenie, wyłączenie mechanizmu kojarzenia i początek końca – pustego ślizgania się wzrokiem po kolejnych liniach, przez kilkanaście sekund, przez te chwile dzielące czytelnika od nieuchronnego zamknięcia okna przeglądarki.

0x0301

Paul Levinson w "Miękkim ostrzu" umieścił rozdział zatytułowany "Autor on-line jako wydawca i księgarz" [Levinson 1999]. Hasło to zostało podchwyczone; możliwość publikowania swoich utworów literackich w internecie, gdzie dostępne są natychmiast dla nieograniczonej grupy odbiorców uznano za jeden z wyznaczników dokonującej się rewolucji. Oto istotne novum – mówi się – tego wcześniej nie było. Każdy może być czytany przez wszystkich. Każdy ma miliony potencjalnych czytelników. Oto prawdziwa równość, oto wyeliminowanie cenzorów w postaci redakcji czasopism czy wydawców.

Levinson jednak, o czym się zapomina, prowadzi rozważania w ujęciu całościowym, poczynając od początków ludzkiej komunikacji, przez wynalezienie pisma, druku, telegrafu, kserokopiarek i tak dalej. Jeżeli za punkt wyjścia uznamy starożytność, średniowiecze czy nawet początki XX wieku – mamy do czynienia z prawdziwą rewolucją, nie przeczę. Jeżeli jednak próbujemy dokonać zestawienia aktualnej sytuacji z okresem bezpośrednio poprzedzającym Internet – okaże się po raz kolejny, że zamiast z rewolucją mamy do czynienia z kolejnym etapem żmudnego procesu ewolucji. Jedna litera w nazwie, ale różnica istotna.

Możliwość opublikowania swoich utworów w ramach ogólnoswiatowej sieci rzeczywiście jest skokiem jakościowym, ale – w moim odczuciu – wcale nie tak wielkim. Czym właściwie miałyby się różnić w samej istocie wykonanie własnej witryny od powielenia utworów za pomocą kserokopiarki i rozdawania ich wszystkim zainteresowanym? Tym być może, że zadrukowana kartka papieru nadal jest o wiele poręczniejsza niż każde popularne urządzenie umożliwiające lekturę tekstów w postaci elektronicznej i szanse na to, że ów potencjalny odbiorca zapozna się z treścią są większe. Ot, co.

0x000b

Podstawową płaszczyzną komunikacyjną dla bohaterów "S@motności w sieci" jest ICQ – program, na którym wzorowali się twórcy kolejnych aplikacji tego typu, w tym - popularnego u nas Gadu-Gadu. Tyle, że obraz tej komunikacji jest przekłamany – gdyby wierzyć Wiśniewskiemu dialogi za pośrednictwem komunikatorów internetowych prowadzone są przy użyciu nie tylko pełnych zdań,

ale całych bloków tekstu, przemyślanych konstrukcyjnie leksji, składających się z wielu akapitów. W efekcie powstaje wrażenie, że rozmowa za pośrednictwem ICQ nie odbiega swoją dynamiką od zwykłej wymiany listów elektronicznych. To oczywisty fałsz.

0x0111

Kluczem jest zrozumienie, na czym polega zmiana wrażliwości odbiorcy, kim jest nowy człowiek, którego narodziny anonsował – bodajże – Jarosław Lipszyc. W swojej “Opowieści o nowym człowieku” pisze on o strukturze Internetu (podobnej do struktury “przybosiowskiego poematu rozkwitającego”), o skojarzeniach z surrealizmem, o wielokanałowej dystrybucji tekstu, o osadzeniu lektury w czasie rzeczywistym [Lipszyc 2002:165]. Belle z kolei stwierdza: “Żyjąc w epoce rewolucji informacyjnej przejmujemy nerw i estetykę tego czasu. Zmienia się myśl, zmienia się jej opakowanie, zmienia się styl życia i jego rekwizyty (...). Poezja, o ile ma wiernie odtwarzać swój czas, musi skrzyć się tymi samymi kolorami, współlistnieć z dowolnym elementem codzienności i współbrzmieć z każdą dziedziną sztuki. Jeżeli dążymy do skondensowania informacji (plus fajny design), taka też jest/będzie współczesna poezja. Jak nagłówki z gazet, jak komendy z programów komputerowych, jak sms’y. Wszystko to przegryza i przenika się nawzajem” [Belle 2001].

Zaskakuje mnie to niepojęte nawoływanie do powszechnej uniformizacji. Zmiana wrażliwości odbiorcy miałaby więc polegać na jego oczekiwaniu kondensacji odbieranych treści? Od poezji miałby on oczekiwać podobieństwa do gazetowych nagłówków? Nad logikę miałby przedkładać surrealistyczny bieg skojarzeń?

Veto.

Wspominałem o niewielkiej różnicy pomiędzy autorem-wydawcą, posiadającym dostęp do kserografu a autorem-wydawcą on-line. Czas dokończyć tamtą myśl: w epoce poprzedzającej powszechny dostęp do Internetu problemem mogła być dystrybucja informacji, znalezienie drogi pomiędzy nadawcą i odbiorcą, autorem i czytelnikiem. Obecnie problemem staje się nadmiar informacji, jej wszechobecność. I sprowadził Bóg na Ziemię potop danych. Oto nowy człowiek – ta drobinka, próbująca się utrzymać na powierzchni oceanu informacyjnego.

Kres cenzorskiej roli redaktorów i wydawców stał się początkiem mechanizmu cenzury u odbiorcy. Teraz to on musi dbać o to, żeby z terabajtów danych, z miliardów znaków wybrać wyłącznie treści dla niego najbardziej wartościowe, w odruchu samozachowawczym, w ucieczce przed miażdżącym naciskiem Informacji napierającej zewsząd.

Kiedy kupuję pismo literackie albo jeden z papierowych tygodników czytam je najczęściej w całości. Kiedy czytam wiersze zamieszczone w sieci albo korzystam z któregoś z portali – wybieram wyłącznie niektóre nazwiska, niektóre nagłówki. Nie stać mnie na poświęcenie choćby kilkunastu sekund na zapoznanie się ze zbędnymi treściami, bo w moim zasięgu znajduje się o wiele więcej niż dawniej treści ważnych i istotnych. I właśnie w sieci potrzebuję żelaznej logiki, która pozwoli przetrwać – mnie, człowiekowi, nowemu człowiekowi, który jednak ograniczony jest przez swój własny mózg. Mózg nie obsługujący multitaskingu i wyposażony w podręczną pamięć zdolną do pomieszczenia kilku tylko danych.

I nie rozumiem zupełnie w imię jakiej chorej idei miałyby się wymagać od poezji – czy literatury w ogóle – upodobnienia do przekazów czysto informacyjnych, do esemesów czy sloganów reklamowych. Takie rozumowanie może wynikać tylko z beztroskiego odrzucenia rozróżniania różnych ról tekstu.

Trzeba zapomnieć o naturze ludzkiej świadomości i sposobie funkcjonowania umysłu, żeby wymagać od nowego człowieka ciągłego obcowania ze skondensowanymi formami informacji, wiecznego dryfu w niemal nieskończonej przestrzeni tekstu.

0x001a

Przemysław Piętaś w tekście „Cybertwarze”, opublikowanym w magazynie internetowym TiN, wymienia cztery podstawowe – zdaniem badaczy – cechy, odróżniające komunikację internetową od tradycyjnej: anonimowość, ubóstwo dramaturgiczne (komputer „filtruje” gesty, akcent, tempo wypowiedzi itp.), brak społecznego kontekstu i niewielka ilość informacji na temat statusu rozmówcy [Piętaś 2003]. Nie do końca mogę się z tym zgodzić.

Anonimowość – niech będzie, chociaż śmiechu warta jest najczęściej ta anonimowość, bo człowiek w sieci ma własną twarz, złożoną z nicka, IP, adresu e-mail, numeru ICQ czy Gadu-Gadu i trzeba się naprawdę postarać, żeby ukryć siebie przed rozmówcą (do zdobycia wielu informacji wystarcza w zupełności podstawowa umiejętność konstruowania zapytań dla wyszukiwarki Google), jeżeli na tym nam zależy – a zakładam, że owszem. Chyba, że chodzi o najwyklesze pogaduchy na chatach, gdzie rzeczywiście jest się wyłącznie nickiem. Niewielka ilość informacji na temat statusu rozmówcy jest dla mnie równie wątpliwa, bo zawsze wiem mniej więcej z kim rozmawiam, a jeżeli nawet nie wiem to w dużej mierze mogę sobie wyrobić na ten temat opinię. Po trzecim zdaniu wiadomo, czy ma się do czynienia z licealistką z Dziurowa Małego czy studentką piątego roku filologii – a jeżeli przypadkiem okaże się, że domniemana licealistka jest właśnie studentką – to już jej problem, widocznie jakiś trefny rocznik się zdarzył. Na temat kontekstu społecznego nie będę się wypowiadał, bo nie bardzo rozumiem, o co chodzi, natomiast stwierdzeniem, z którym nie mogę się zgodzić w żaden sposób, jest rzekome ubóstwo dramaturgiczne rozmów prowadzonych w Sieci.

Po pięciu latach od chwili, kiedy po raz pierwszy uruchomiłem mIRC'a, jestem całkowicie pewny, że Sieć stwarza możliwości komunikacyjne, które mnogością płaszczyzn przekazu przewyższają kontakty tete-a-tete. Sama komunikacja w czasie rzeczywistym (IRC, ICQ, GG) jest komunikacją żywą i dynamiczną – wystarczy zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy rozmową z kimś, a czytaniem loga (zapisu) tej samej rozmowy. Przerwy pomiędzy wypowiedziami, sposób formułowania zdań, komunikaty pełne bądź wyrzucane porcjami złożonymi z dwóch-trzech słów – wszystko to składa się na wyjątkowość takiego sposobu porozumiewania się i daje pojęcie o emocjach rozmówcy. Nawet nie wspominam o emotikonach, które najczęściej pozwalają w dużej mierze zastąpić tradycyjny przekaz niewerbalny (mimiczny).

To nie wszystko – komunikacja internetowa (czy szerzej – elektroniczna) pozwala także równolegle prowadzić przekaz za pomocą kilku niezależnych kanałów – zdarzały mi się sytuacje w których prowadziłem z tą samą osobą jeden dialog na ircu, drugi na privie, trzeci – za pomocą wysyłanych z sieci w obie strony sms'ów, puentujących jak gdyby treści przekazywane w czasie rzeczywistym, a czwarty – na płaszczyźnie blogowej, w postaci komentarzy dopisywanych na przemian do tej samej notki. Jasne – na żywo też można równocześnie rozmawiać, lewą ręką gładzić rozmówczynię po kolanku w jego górnych rejonach, a prawą stukać esemesa, ale to jednak bardziej płaszczyzna komunikacyjna, niż przestrzeń.

0x0010

Nie ma więc chyba w polskiej literaturze książki, w której Internet istniałby jako naturalna część świata i która oddawałaby wiernie – na ile to możliwe - jego charakterystyczne cechy. Sieć jest traktowana jako rekwizyt, jak zakurzony telewizor stojący w kącie pokoju, jak ciało obce. I tak będzie przez pewien czas – nie napisze prawdy o sieci nikt, dla kogo nie jest ona tak oczywistym elementem krajobrazu jak gniazdko elektryczne w ścianie czy bieżąca woda.

0x0027

Lipszyc: „hipertekst zawsze ma swój początek, pierwszy fragment tekstu, choć może nie mieć końca” [Lipszyc 2002:160]. Tekst bez końca? A sens – czy sensów także jest nieskończenie wiele,

podobnie jak sposobów odczytania? Z nieskończoności bardzo blisko jest do drugiej skrajności, do zera, niczego, do pustki, do próżni. Akceptacja nieskończoności sposobów odczytania, nieskończonej ilości sensów jest akceptacją bezsensu, akceptacją czystej formy, nie wypełnionej żadną treścią.

0x0017

Plakaty reklamujące usługę SDI przedstawiają najczęściej uśmiechniętego młodego mężczyznę, wokół którego niebieskawo jaśnieje poświata monitora. Reklamy TP S.A. tworzą obraz nowoczesnej firmy, której każdy pracownik za jedyny cel stawia sobie podniesienie jakości usług i zadowolenie klienta. Rzeczywistość skrzeszy – młody człowiek nie jest otoczony poświatą monitora, tylko mdłym światłem jarzeniówki, a siedząca naprzeciwko pani nie ma na głowie telefonicznej słuchawki z mikrofonem i nie uśmiecha się, tylko zmęczonym głosem informuje, że za SDI nie dostaje żadnej prowizji, w związku z czym nie bardzo chce jej się, szczerze powiedziawszy, sprzedawać. I w ogóle ma dosyć.

Cały ten przydługi nieco wstęp jest uzasadniony, ponieważ dobrze obrazuje różnicę pomiędzy marzeniami a rzeczywistością, pomiędzy tchnącą optymizmem wizją a stanem faktycznym. Różnicę, którą dostrzegam także próbując skonfrontować niektóre opinie czy tezy “Liternetu” z własnymi obserwacjami. Piotr Marecki pisze we wprowadzającym do książki tekście, że “wtargnięcie w obszar literatury komputera i Internetu przesądziło o zmianie statusu ontologicznego, jak i jakościowego sztuki pisania” [Marecki 2002:5]. To twierdzenie – odważne, a w moim odczuciu nawet zbyt odważne – które kończy pierwszy akapit “Liternetu”, ma znaczenie w pewnym sensie symboliczne, ponieważ dużej części literaturoznawców, zajmujących się tematyką internetową brakuje ostrożności, tak sądzę. Ostrożności w formułowaniu sądów dotyczących najbardziej dynamicznie rozwijającego się medium w historii komunikacji. Próby opisania, klasyfikacji i formułowania daleko posuniętych wniosków z sieciowej teraźniejszości są stąpieniem po kruchej tafli lodu. Zachwyty nad nowym nasuwają mi – nieco przesadzone – skojarzenie z radosnym tańcem dzieci na łące, którą właśnie odkryły – tyle, że pod kwiatami i trawą jest pole minowe.

0x0002

Podobno ma się zmienić język - zamiast starego będzie netspeak, forma skrócona, skondensowana. Marecki: “netspeak to swoisty sieciowy dialekt, który powoli staje się językiem literatury” [Marecki 2002:15].

Jakiej literatury?

W rozmowach prowadzonych za pomocą Gadu-Gadu używam oczywiście akronimów, wywodzących się z języka angielskiego. Nie zdarzyło mi się spotkać z cytowanymi przez Mareckiego akronimami polskimi – nikt nie pisze “msz”, “chotp”. Co najwyżej - “chwdp”. Używa się “imho”, używa “w8”, używa “thx” - z konieczności głównie, bo łączy palce-klawiatura jest o wiele zbyt wolne. Ale to jest tylko IRC czy Gadu-Gadu – netspeak wbrew nazwie nie jest językiem mówionym. Netspeak powstał w sposób naturalny, ale w swojej istocie jest tworem sztucznym. To jest język komunikacji pospiesznej, nerwowej. Mówię zawsze: “wyślij mi, proszę, na skrzynkę tamtą poprawioną grafikę do strony głównej”, chociaż piszę “zarzuć mi na mejla updatowany gfx do mainpage, plz”. Nie wyobrażam sobie takiej formy w literaturze. Raziłaby sztucznością, niedostosowaniem formy do roli. Wyrwana z sieciowego kontekstu, z tej nerwowości – brzmiałaby równie absurdalnie jak przemówienie polityka w formie hiphopowego freestyle. To nie jest sakralizacja literatury, to tylko proste spostrzeżenie. Nie wierzę w zastąpienie rdzenia języka prawdziwego przez rdzeń netspeaku. Taki proces nie byłby ewolucją, ale korozją.

0x00ef

Grzechem pierwotnym w podejściu do hipertekstu jest założenie, że jego obecna forma jest w jakikolwiek sposób różna od wcześniejszych eksperymentów Cortazara chociażby. Lektura

internetowej powieści hipertekstowej różni się w istocie od lektury “Gry w klasy” tylko tym, że kolejne treści pojawiają się przed oczami w tym samym miejscu, dzięki kliknięciu myszką – zamiast przerzucania stron książki. W istocie tylko tym. (“Gra w klasy” jest jedną z moich ulubionych książek, ale nigdy nie zdobyłem się na jej pełne przeczytanie w porządku innym niż pierwotny, mówiąc na marginesie).

Podobnie jest z okrzykaną multimedialnością internetową. Dzisiejszy poziom rozwoju technologicznego - choćby przepustowość łączy - sprawiają, że owa multimedialność to takie czytanie książki z ilustracjami przy włączonej muzyce; tyle, że wszystko to zebrane jest w ramach jednego urządzenia. To jakiś progres, jakiś etap ewolucji – ale z pewnością nie rewolucja.

0x000a

W informatyce było przecież tak samo – kiedy w latach pięćdziesiątych rozpoczęto prace nad automatycznym tłumaczeniem tekstów (z rosyjskiego na angielski, jako, że motorem napędowym badań była zimna wojna) wszyscy byli pełni zapału. Powstanie sztucznej inteligencji (twardej, czyli rozumianej w ściśle ludzki sposób) miało nastąpić pojutrze, najpóźniej w przyszłym tygodniu. Pisarze science fiction pospiesznie zabrali się do roztrząsania problemów związanych z wzajemnymi relacjami człowieka i zbudowanych przez niego elektronicznych świadomości (vide “2001“ Arthura C. Clarka), a cała rzesza psychologów, teoretyków komunikacji, filozofów i przedstawicieli innych dziedzin nauki rozpoczęła dyskusję na temat tego co sztuczną inteligencją nazwać można, a czego jeszcze nie. Kwestia była paląca, należało przecież przygotować się na rychłe nadejście Nowego.

Minęło pół wieku, a ludzkość na dobrą sprawę nie stworzyła jeszcze Sztucznego Zdrowego Chłopskiego Rozumu, o Inteligencji nawet nie wspominając. Prace nad tłumaczeniem tekstu załamały się w pewnym momencie, po okresie początkowych sukcesów – okazało się bowiem, że do poprawnego tłumaczenia języka naturalnego, ściśle kontekstowego, konieczne byłoby tak naprawdę jego rozumienie; rok 2001 nadszedł i minął – zamiast HALa nadal mamy białe pudła, którym wydaje się polecenia pisząc na klawiaturze, a psychologowie, filozofowie i teoretycy komunikacji z tym samym zapałem roztrząsają kwestię tego, co sztuczną inteligencją już będzie, a co – jeszcze nie.

Wierzę głęboko, że za kolejnych pięćdziesiąt lat dyskutować będą nadal.

0x0012

Zmienia się wrażliwość odbiorcy. Lipszyc: “Internet rządzi się logiką skojarzeń, a nie wywodu”, “mówimy o zmianie wrażliwości odbiorcy” [Lipszyc 2002:165]. Po takich uwagach odnoszę wrażenie, że nie ma ucieczki przed hipertekstem. Lektura linearna to przeżytek, życie nam się fragmentaryzuje, nasz czas przyjmuje obecnie wartości dyskretne i jego ciągłość jest fikcją, a z tego wynika, że współczesny odbiorca poszukiwać będzie tej samej nielinearności w lekturze.

Nie sądzę.

A jeżeli nawet, to nie prędzej niż za parę pokoleń, bo nikt wychowany na tradycyjnym druku nie przekona się w pełni do rzeczy tak bardzo niewygodnej, jak publikacje elektroniczne w dowolnej postaci. Za tych kilka pokoleń zaś nic nie będzie już takie jak dzisiaj (mamy do czynienia z najbardziej dynamicznym medium w historii – kto pamięta jeszcze jak wyglądał Internet pięć lat temu?), więc hipertekst zostanie zapewne zastąpiony hipermediami, ultramediami albo jakąś równie kretyńską kategorią marketingową.